



Widok na Polanicę-Zdrój

Podczas tamtego tygodnia w górach, niecałego nawet, bo to zaledwie sześć dni, zrobił tyle zdjęć, że można by z nich ułożyć, jedno za drugim, całą historyjkę. Prawie film. Co prawda, niemy. Tylko czarno-biały. Ale od niedzieli do soboty, kadr za kadrem, wszystko dałoby się zobaczyć. Oczywiście, kto tam był wtedy, zobaczy więcej. Przypomni sobie zapachy, lub powietrze drżące od

obietnic, smak upragnionego napoju, głosy, śmiechy, chwile ciszy. A kogo nie było, ten niech się domyśli. Niech dopowie swoją historyjkę. Bo przecież nie historię przez duże „H”. Wielka historia toczy się poza tymi zdjęciami. Na nich nie widać nawet, który to dzień, rok ani miejsce. Z jakich imion, spraw i przeznaczeń składają się te chwile złapane na światłoczuły papier. Wielka historia defiluje przed innym aparatem. Nie szwenda się po górach. Tutaj jest głównie ta dziewczyna. Jej włosy. Obłoki na niebie. Ale czy w trzydziestym piątym, szóstym czy siódmym? W poniedziałek czy w środę? Kogo spytać o te rzeczy? Bo tych trojga, rozluźnionych i młodych ludzi, z pewnością już nie ma na świecie. Trzy osoby. Czwarta, może najważniejsza, jest niewidoczna. To Paul. Stoi za aparatem i właśnie naciska migawkę. Robi zdjęcie tej chwili, krótszej niż uderzenie serca. Nic, poza ukradkowym spojrzeniem dziewczyny, nie zdradza jego obecności. Więc już wiemy, że za krawędzią tego kadru jest Paul i cała reszta rzeczy, których nie ma na zdjęciu. Historyjka oraz historia przez duże „H” na razie jest poza obiektywem.

Kliknęła migawka. Gotowe. Można ruszać dalej. Wycieczka dopiero rozpoczyna się na dobre.

Ojciec Brigitte pożyczył im samochód.

– Mam do pana zaufanie.

Tylko to powiedział Paulowi, powierzając mu córkę, wraz z nieco wysłużonym adlerem, którego nie używał już od trzech lat i który właściwie nigdy mu nie był potrzebny. Paul bywał czasem jego kierowcą. Lubił to zajęcie. Kiedyś nauczył się prowadzić samochód i wystarał o *Fahrerlaubnis*. Mógłby nawet zostać zawodowym kierowcą. Nie został. Więc może teraz?

– Proszę mnie zatrudnić jako szofera – proponował żartem jej ojcu.

Pan Kopietz w odpowiedzi ścisnął mu tylko dłoń. Lubił tego chłopaka, lecz nie potrzebował szofera. Dokąd miałby jeździć w tym stanie? Chyba na cmentarz. A na razie niech go zawiezie na drugi koniec miasta, do doktora Kronnenberga, który odsuwa jak najdalej datę jego pogrzebu. Wracając, nadłożą drogi, by zamiast zakurzonych ulic mieć trochę pól, kawałek lasu, skrawek rzeki, jakiś

staw między hałdami. Paul lubił jego towarzystwo. Rozmawiali wtedy swobodnie i otwarcie. Jak to w samochodzie. Przerzucali słowa ponad czterdziestoletnią różnicą punktów widzenia.

– W góry, panie inżynierze. Tam należy jechać. Nie na cmentarz, tylko w góry.

Pan Kopietz uśmiechał się. Nie ma mowy. Musi się liczyć z lekarzami i nie oddalać od domu. Od żony. Od regularnych posiłków. Od inhalatora, którym odpędza ataki duszności. Dalekie podróże to już nie dla niego. Zostawia je innym. Proszę bardzo. Oto samochód. Oto Brigitte. Niech jadą i wracają szczęśliwie. Gdy wyjeżdżali, jej matka nawet nie kryła zdenerwowania. Apelowwała o odpowiedzialność.

Wybrali się we czworo.

Paul. Ona. Theo, jej kuzyn. Na zdjęciu w mundurowym żakiecie, włożonym specjalnie na tę okazję. Teraz mają już inne, ale dawniej w takich kubrakach paradowali chłopacy ze straży pożarnej. Theo lubił się przebierać. W tym przypadku chciał robić wrażenie gajowego. Jego zdaniem jest to najlepszy strój ochronny w górach. Możesz pójść wszędzie i nikt nie piśnie słówka. Czwartym w samochodzie, a drugim na fotografii jest Beno. Mistrz kierownicy, trzecie miejsce na zawodach motorowych w Chemnitz, kolega Theo ze studiów, przez przyjaciół zwany *Blitzstrahl*. Lepszym od niego mógł być tylko rekordzista Rosemeyer. Beno, to trudny gość. Szkoda byłoby mu własnego, sześciocyndrowego opla admirała na górskie drogi. Inna rzecz, że adler bardziej się nadawał. Więc to wspaniale, że pan Kopietz powierzył maszynę Paulowi, a on z kolei ustąpił Benowi miejsca za kierownicą, żeby być bliżej Brigitte, która nie lubiła siedzieć z przodu.

Był wczesny poranek, ale już zapowiadał się upalny dzień. Niedziela, 20 czerwca. Od jakiegoś czasu używano nazw miesięcy na modłę nowo-staroniemiecką. Czerwiec to był *Brachmonat*. Czas ugorów.

– Jakich ugorów? Raczej upałów – narzekał Theo, ocierając pot z twarzy. Więc może *Brandmonat*? Z trudem wytrzymał w strażackim kubraku. Poza tym wszystko pasowało jak ulał: samochód, nastroje, pogoda, upały czy ugory, ku którym jechali,

strasząc na wiejskich drogach gęsi, kury i oburzając ospałych bauerów wracających z kościoła z żonami i dziećmi. Towarzystwo w samochodzie doborowe, jeśli tylko pominąć irytującą słabość Beno do Brigitte. Lecz Beno, dzięki Bogu, miał ręce zajęte kierownicą. Jego akrobacje na zakrętach, gwałtowne hamowania i inne sztuczki miały chyba zakłócać jej czułe rozmówki z Paulem na tylnym siedzeniu.

– Beno! Co ty wyprawiasz? Przecież to nie zawody samochodowe!

Jej protesty sprawiały mu przyjemność. Dowodziły, że go zauważa. Że jeszcze istnieje dla niej ktoś poza tym maniakiem-fotografem. Ale to, co widział w lusterku, nie rokowało najlepiej. Małe szanse. Zakochana w nim, czy co? Na to wygląda.

Paul fotografowaniem zajmował się od dawna, ale w roku 1937 traktował to jeszcze jako rozrywkę. Po prostu fotografował wszystko, bo lubił tę chwilę cichego trzasku migawki. W tym ułamku sekundy odczuwał coś oszałamiającego. Niestety zbyt krótko, by dokładnie poznać naturę tej podniety. Oto kamera bezkarnie wykrada kawałek rzeczywistości. Ukrywa na kliszy jej negatyw. Staje się ciemnym miejscem w pamięci, skąd w każdej chwili można wywołać to, czego była świadkiem: spojrzenie zmarłego już dziadka Adolfa, sylwetkę chłopca spożywającego coś w cieniu drzewa, ubiegłoroczny zachód słońca nad polem w Hartenbergu, topniejący śnieg na Hoher Iserkamm... Wszystko.

Wstąpił nawet do Towarzystwa Fotograficznego, co w pewnym sensie uczyniło go zawodowcem. Ale nie biegał z aparatem po chrzcinach, weselach i pogrzebach. Nie polował na sportowców. Nie zajmował się reklamowym blichtrzem. I raczej dopłacał do tej przyjemności, bo przecież nie zarabiał. W jego fotografowaniu było coś miłego. Przepadał za tym przyjemnym napięciem ni to w okolicach splotu słonecznego, ni wewnątrz głowy. Dwa lata później, albo coś koło tego, Karl Klossok, szyszka ze Schlesien Verlag w Breslau, wybierze około dwieście zdjęć z jego dorobku i złoży z nich fotograficzną opowieść. Paul odczuje to jako dowód uznania, powiększony przez dodanie tam krótkich rozprawek aż trzech autorów, choć wystarczyłby jeden. Nieszczególnie zachwyciła go ta literatura. A jeszcze mniej, gdy do wydania drugiego, w 1941, dołączył czwarty pisarz, który wniósł tam akcenty patriotyczne. Ten

brak wytknięto pierwszemu wydaniu. Ale to później. Wszystko później. Na razie jechali poczciwym adlerem (rok produkcji 1932) w doborowej ekipie, z aparatem fotograficznym Paula, jako piątym towarzyszem podróży.

Fotografowanie miało mu osłodzić gorycz porażki, gdy po trzech semestrach w Breslau zgasł w nim zapał do uniwersytetu. Pewnie miałyby go więcej, gdyby nie pieniądze. Wrócił do Gleiwitz z pustymi kieszeniami i poczuciem klęski. Jako niedoszły historyk dostał pracę w Archiwum Miejskim. Zarobki kiepskie, lecz i pracy niewiele. Na poddaszu ratusza – gdy nie grał w warcaby z piękną panną Skerhut, która też tam nie miała nic do roboty – układał ze starych zdjęć kronikę miasta. Gdy odkryto, że nie trzeba tam zatrudniać aż tylu wałkoni, zwolnili go. Ale fotografował dalej.

Czy zakładał, że te zdjęcia zachowają się i będą oglądane? Że zbiorą się z tego kadry do niemego filmu? Chyba nie. Niczego sobie nie wyobrażał. Nie myślał o takich głupstwach, a już na pewno nie o mnie, wygrzebującym te zdjęcia ze śmietniska wyklętego czasu. Że w ogóle istnieją, wiem od niedawna. Nie było mnie jeszcze na świecie, gdy je wykonywał. Trafiłem szczęśliwie na kilka starych fotografii i zaraz po tym, na co patrzył, rozpoznałem tego, kto je robił. Po tym – choć tylko czarno-białe – co także ja widziałem i widzę. Wydał mi się kimś bliskim. Tyle, że sprzed sześćdziesięciu lat.

Zaczął się od okazynego nabytku. W roku 1934, gdy zwolnienie z archiwum osłodziło mu symboliczną odprawą, poznał w Beuthen Polaka pracującego tam w National Film Aktiengesellschaft. Za grosze kupił od niego najnowszy model aparatu marki Voigtländer. Typak ten miał później jakieś kryminalne kłopoty. Pisano w gazecie, że uciekł z Polski, gdzie dopuścił się defraudacji. Można było przeczytać, że Antoni Pierzchalski narobił długów na 900 000 złotych w polskich Siemianowicach i to samo usiłował powtórzyć w Beuthen. Wyłudzał. Brał albo dawał łapówki. Przyłapano go i wsadzono do pudła. Paul wystraszył się, że aparat może pochodzić z przestępstwa. Pojechał do Oppeln, sprzedał i dostał nawet więcej niż zapłacił. Akurat, by nabyć nową Leicę na

film małoobrazkowy. Tak to się zaczęło. W parę lat stał się właścicielem aż trzech kamer, ku zgorszeniu matki.

– Kupiłbyś sobie porządne ubranie i nowe buty za te pieniądze! Żadna dziewczyna nie spojrzy na ciebie.

– Matko, nawet nie wiesz co dzieje się z dziewczynami, gdy widzą aparat! – odpowiadał.

Kręciła głową. I w ogóle, jakie są te dzisiejsze dziewczyny? Lepiej nie myśleć! Ale on nie fotografował dziewcząt. Jeździł z kamerą w góry. Dawniej robił to wyłącznie dla siebie. Teraz również, żeby kamera nie marnowała się w szufladzie i by zobaczyć więcej niż tylko oczami. Żeby – jeśli zdjęcie było udane – widzieć to, czego już nie ma. Bo z każdą chwilą znika jakiś kawałek świata. Za szybko. I chyba coraz szybciej. Wszystko pędzi. Jest tylko przez chwilę. Fotografia to w pewnym sensie zaklęcie czasu; rodzaj pamięci, magia zatrzymująca na zawsze to, co było przez tę chwilę, gdy choć jedną nogą stało się w niebie i widziało czystą prawdę. Niestarzejącą się, niezmienną. Tak było – powiada zdjęcie. I choć nie mówi wszystkiego, nie kłamie. Żaden inny powód nie związałyby go tak bez reszty z aparatem. Patrząc na widok sprzed sześćdziesięciu lat, można wiele usłyszeć. Można go – Paula – nie widząc, zobaczyć. A nawet stać się nim na tę jedną setną sekundy czerwcowego dnia sześćdziesiąt lat temu, patrzącym w wizjer kamery, jego okiem, leicą w jego rękach. Gościem w słonecznym krajobrazie, który na chwilę wymknął się z historii przez wielkie „H” i zaplątał się w historyjkę. Przez małe. Paulem naciskającym migawkę. Krzyżącym do towarzyszy, że już gotowe. W aparacie pstryknęło i życie potoczyło się dalej. Mogą ruszać.

Dziesięć minut wcześniej, może kwadrans, około południa, po pięciu godzinach jazdy zatrzymali się na skraju pola. Beno rzeczywiście był świetnym kierowcą. Adler, już niezłe rozgrzany, pokonał strome wzniesienie pełnym szwungiem. Niech odpocznie. Nieprzebrane zasoby ciszy w powietrzu, a w niej głosy ptaków i szum wiatru, tylko czekały na zgaszenie silnika. Słońce odsłoniło bogactwo grzbietów górskich i dalekich planów. Siedzieli w trawie i jedli kanapki. Theo, który przez większość drogi drzemał, ożywił się. Włożył znów ten kubrak strażaka-leśnika i popisowywał się

gimnastyczną obsesją. Ciało służyło mu do robienia na każde zawołanie pięćdziesięciu pompek. Głowa jest do stania, a ręce do chodzenia. Nogi należy założyć na kark. Człowiek powinien, ilekroć jest okazja, wracać do małpy, ku chwale Darwina. Z kanapką w zębach wdrapał się na drzewo, skąd, jak przez peryskop, widział na odległość. Jako radiowy reporter opowiadał pochód pielgrzymów, stamtąd jakoby widoczny. Ślepi, garbaci, trędowaci, beznożni, epileptycy, paralitycy, obłąkani w kolorowych szmatach, kretyni, żebracy, nieszczęśni urzędnicy magistratów, a nawet kilku pierdołów w paradnych mundurach. Kupa, kupa ludzi! Wszyscy zmierzają do świątyni, gdzie cud przemieni ich życie. Zabierze im skrofuły i wola. Zwróci brakujące kończyny i rozumy. A tymczasem idą, płacząc i zawodząc. Wznoszą wzrok ku niebu. Śpiewają nabożne pieśni. Uwaga! Zaraz się wyłonią zza zakrętu! Theo musiał mieć swoich pięć minut na wygłupy. Lubił rozśmieszać, więc śmiali się, żeby mu sprawić przyjemność. Było pięknie i radośnie. Ogarnęła ich euforia. Świetny pomysł z tym wyjazdem.

Wobec radosnego nastroju, słonecznego nieba i odległych horyzontów, Paul musiał to zrobić. Poszedł do samochodu i wyjął aparat, mimo że już-już mieli jechać. Ustawił statyw po drugiej stronie szosy. Zrobili mu tę uprzejmość i zostali na miejscu. Więc spieszył się. Nie wyszło. Jeszcze raz. Udało się za trzecim. Nareszcie! Zebrali rzeczy. Przebiegli przez łąkę, szosę i wskoczyli do auta. Beno zakręcił korbą. Ruszyli. Trochę celulozoidu, szczypta bromku srebra, trochę wywoływacza z utrwalaczem i kawałek światłoczułego papieru, niebawem uczynią tę chwilę na powrót widzialną. I oto – mimo że sprzed sześćdziesięciu lat – tamto południe nie skończy się nigdy.

Teraz Paul usiadł obok Bena. Miał wskazywać drogę. Po chwili minęli Bad Altheide – dziś znane jako Polanica Zdrój – będące tłem scenki na zdjęciu. Co chwila oglądał się wstecz. Upewniał się, że to nie jest sen i Brigitte siedzi tam rzeczywiście, trzymając w ustach źdźbło trawy z tej łąki, którą zostawili za sobą. Że Theo znów podrzemuje, skoro w aucie trudno być akrobatą. Że wszystko odjeżdża do tyłu, podczas gdy auto brnie w przód. Odwracał głowę

i widział to jak zdjęcie: ona, śpiący Theo, kłęby kurzu i spalin za nimi.

– Dlaczego tyle fotografujesz?

To pytanie Brigitte. Zada je później. Za sześć dni, gdy będą stąd wyjeżdżać, bo przecież nic nie trwa wiecznie. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Dlaczego tyle? To znaczy, ile? Nie miał pojęcia.

– No dobrze. Powiem ci, skoro chcesz. To mój sposób, żeby cię uwieść. Zdjęcie za zdjęciem, aż złoży się coś większego. Fotografuję krajobraz, bo jest piękny. Z tobą, podobnie. Również jesteś pięknym krajobrazem. Uwodzimy cię: ja i mój aparat.

On i jego aparat. Uśmiechnęła się, bo co można innego. Niech mu wystarczy uśmiech. To więcej niż słowa. Może kiedyś zrozumie, że ona to nie krajobraz?

Gdy za rok niejaki Koslik – poznamy go później – będzie chciał od Paula zdjęć do gazety, ale takich, wie pan, w których słyhać śpiew śląskiej ziemi, Paul od razu pomyśli o tej fotografii. Ściśle biorąc, nie był to już Śląsk, choć tamtejsi ludzie poczuwali się do tego. Okolice Glatz – mówiło się Graftschaft Glatz – dopiero od dwustu lat należały do Śląska. Ale ta dziewczyna, zerkająca jakby z wyrzutem, że Paul tak się oddalił z aparatem, była ze Śląska. Jej obecność na fotografii miała zaspokoić życzenia redaktora Koslika.

Ponad pół wieku później – w roku 1998 – dokładnie ustalimy to miejsce, gdzie pod klonem stał fotograf z aparatem. Zdjęcie zrobiono na skraju wioski, która od zawsze nazywała się Oberschwedeldorf. Obecnie, Szalejów Górny. Po klonie ani śladu. Wzdłuż drogi rosną już inne drzewa. Z Teresą, która tam mieszka, schodziliśmy pola między Szalejowem Górnym a Polanicą Zdrojem. Niełatwo było trafić w punkt, gdzie sześćdziesiąt lat temu trzasnęła migawka aparatu. Mając świadomość, że sam obiektyw zmienia obraz a i fotograf może przekreślić niejedno, szukaliśmy tego, co utonęło w falach kolejnych zmian i zniszczeń. Sam pamiętam drzewa, budowle, wioski, a nawet całe miasta, po których dziś nie ma śladu. Przetrwały tylko na fotografiach. Co prawda, w ogólnych zarysach, dawne Bad Altheide stoi, gdzie stało. Lecz w szczegółach – poczynając od nazwy – nie ma go wcale. Pewne przedmioty na zdjęciu wydają się te same. Ale gdy między drzewami, które zarosły



dużą część miasta, szukaliśmy wieży drugiego kościoła – na zdjęciu jeszcze widocznej – nie było jej. Kościół zburzono w latach sześćdziesiątych. Wielu domów ze zdjęcia Paula nie znaleźlibyśmy nawet ze świecą. Pola, niegdyś tak zagospodarowane, w większości stały się nieużytkami. Rozmnożyły się ugory i odłogi. A co z tamtymi mieszkańcami? Wiadomo.

W końcu znaleźliśmy ten punkt na nieczynnym parkingu wśród plastikowego i szklanego śmiecia. Stał tam wypalony wrak TIR-a, ubiegłoroczna ofiara bandyckiego napadu, podpalona dla zatarcia śladów. Nie było tam przyjemnie. Jakiś facet ciął fragmenty ciężarówki aparatem spawalniczym. Może nie całkiem legalnie? Patrzył nieufnie. Wyjęliśmy aparat fotograficzny. Facet przerwał robotę i zniknął. Zrobiliśmy zdjęcia. Teresa jedno. Ja drugie. Dla uczczenia sześćdziesiątej rocznicy tamtego świata, który dla Paula i jego obiektywu był jeszcze żywym, istniejącym rajem. Tak przynajmniej sobie to wyobrażam.

Raj? Może niezupełnie. Nie wiem, jak sam bym znosił ten ferwor pomyślności w najlepszych czasach Trzeciej Rzeszy, gdy jeszcze nic nie zapowiadało dalszego ciągu. Co bym czuł, myślał i robił? Może w masie milionów współobywateli, wymachiwałbym wyciągniętą ręką? Za dalszą pomyślność. Na całych, obiecanych tysiąc lat. Koniec z mroczną wegetacją! Bez obcego kija nad głową i wersalskiego traktatu. Bez dyktatu amerykańskiej wszechwiedzy. Ta pomyślność zapewne wszystkich – z małymi pauzami – przyprawiała o zawrót głowy. Nareszcie się żyło! Jak nigdy. Jak nigdzie. Któż by się przejmował drobnymi zaburzeniami na mapie ogólnej pogody? Podobnie, choć nieco inaczej niż w znanych mi osobiście czasach – Bieruta, Gomułki, Gierka i tak dalej – kiedy obietnic było więcej niż spełnienia. No, doprawdy, sam nie wiem kim i czym byłbym wtedy? W tym raj. Raju?

Na zdjęciu widać wszystko, co ma być teraz wskrzeszone: słoneczny dzień, pogodnych ludzi, ich uśmiechy i tamte nastroje, przechowane w negatywie. Oczywiście bez narodowej dekoracji. Bez śladu Trzeciej Rzeszy. Również bez karykaturalnego retuszu, który po latach nanieśli na tamtą epokę mądrzy po szkodzie. Bez oskarżeń i bez niekończącego się poczucia winy. Bez lęku wysokości, z jakim

spada się z nieba do piekła. Na razie jest niedziela, 20 czerwca 1937 roku. Wiara, nadzieja i młodość. Może nawet miłość! Za chwilę samochód ruszy. Pojadą dalej. Do najbliższego skrzyżowania, gdzie drogowskaz powiada: ALBENDORF 9 KM. Skręcają w prawo. Znikną z oczu. Opadnie kurz na suchej drodze. A zdjęcie, z którego wyskoczyli z szybkością 70 kilometrów na godzinę, pozostanie tam, gdzie je zrobiono. Na skraju wioski, która nazywała się Oberschwedeldorf. Zatrzyma się i będzie czekać cierpliwie. Tylko ono. Bo tamci znikną za jednym i drugim zakrętem. Za trzecim, dziesiątym, sześćdziesiątym rokiem. Na zdjęciu przetrwa to, co niezniszczalne; po sześćdziesięciu latach, ciągle jeszcze ten sam, czerwcowy, południowy upał.